

SERIA
RIZZOLI
I ISLES

TESS GERRITSEN

NAJBARDZIEJ ZNANA NA ŚWIECIE
AUTORKA KRYMINAŁÓW MEDYCZNYCH

MILCZĄCA DZIEWCZYNA

Zemsta potrafi czekać w milczeniu.

ALBATROS

Tytuł oryginału:
THE SILENT GIRL

Copyright © Tess Gerritsen 2011
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Anna Jęczmyk 2012

Redakcja: Beata Słama

Projekt graficzny okładki i serii: Kasia Meszka

Zdjęcie na okładce: © Stuart Monk/Arcangel

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Rozdział pierwszy

San Francisco

Przez cały dzień obserwowałam tę dziewczynę.

Nic nie wskazuje na to, że jest tego świadoma, chociaż mój wynajęty samochód widać z rogu ulicy, na którym dziewczyna stoi wraz z innymi nastolatkami, które zebrały się tam dziś po południu, robiąc to, co zazwyczaj robią znudzone dzieciaki, by zabić czas. Wygląda na młodszą od innych, być może dlatego, że jest Azjatką i to dość drobną jak na siedemnaście lat, po prostu chuchro. Jej czarne włosy są ostrzyżone na chłopaka, a niebieskie džinsy powycierane i podarte. Nie wygląda to na celowy zabieg zgodny z najnowszymi trendami mody, ale raczej na rezultat częstego noszenia i życia na ulicy. Zaciąga się papierosem i wypuszcza chmurę dymu z nonszalaną godną ulicznego zbira, co nie pasuje do jej bladej cery i delikatnych chińskich rysów. Jest wystarczająco ładna, by wzbudzić zainteresowanie dwóch przechodzących obok mężczyzn. Dostrzega ich pożądliwe spojrzenia i patrzy im prosto w oczy, nieustraszona. Nietrudno jednak być odważnym, gdy zagrożenie jest pojęciem abstrakcyjnym. Zastanawiam się, jak by się zachowała w obliczu prawdziwego niebezpieczeństwa. Czy walczyłaby, czy raczej się załamała? Chcę wiedzieć, jaka jest naprawdę, ale jak dotąd nie miałam okazji zobaczyć, jak się zachowuje poddana prawdziwej próbie.

Zbliża się wieczór i młodzież z rogu ulicy zaczyna się rozchodzić.

W San Francisco nawet letnie noce są chłodne i ci, którzy zostali, zbijają się w grupkę, opatuleni w swetry i kurtki, i podpalają sobie papierosy, rozkoszując się ulotnym ciepłem płomienia. Lecz zimno i głód sprawiają, że nawet najbardziej wytrwali w końcu się rozchodzą, zostawiając samotną dziewczynę, która nie ma dokąd pójść. Macha im na pożegnanie i przez chwilę kręci się w miejscu, jakby na kogoś czekała. W końcu wzrusza ramionami i odchodzi z rękami wciśniętymi w kieszenie. Idzie w moją stronę. Kiedy mija mój samochód, nawet nie rzuca na mnie okiem. Patrzy prosto przed siebie, jej spojrzenie jest skupione i zaciekle, jakby była w rozterce i intensywnie rozważała wszystkie za i przeciw. Może zastanawia się, skąd wytrzasnąć jedzenie na kolację? A może rozmyśla nad czymś dużo ważniejszym? Nad swoją przyszłością. Nad tym, jak przeżyć.

Chyba nie zdaje sobie sprawy z tego, że idą za nią tamci dwaj mężczyźni.

Zauważyłam ich kilka sekund po tym, jak minęła mój samochód. Wyłonili się zza rogu. Poznałam ich: to ci sami, którzy gapili się na nią wcześniej. Kiedy idąc w ślad za nią, przechodzą obok mojego samochodu, jeden z nich patrzy na mnie. To tylko pospieszny rzut oka, by ocenić, czy stanowią zagrożenie. To, co widzi, nie wzbudza w nim najmniejszego niepokoju, więc idzie dalej z kolegą. Poruszają się niczym pewne siebie drapieżniki, którymi w istocie są, śledząc słabszą od siebie ofiarę, niemającą dość sił, by się obronić.

Wysiadam z samochodu i idę za nimi. A oni idą za dziewczyną.

Zmierza w stronę dzielnicy, w której zbyt wiele budynków jest opuszczonych, a chodniki sprawiają wrażenie wybrukowanych potłuczonymi butelkami. Dziewczyna nie zdradza żadnych oznak niepokoju czy lęku, jakby ten teren był jej dobrze znany. Ani razu nie ogląda się za siebie, co świadczy o tym, że albo jest lekkomyślna, albo nie ma najmniejszego pojęcia o życiu i o tym, co może przydarzyć się takim dziewczynom jak ona. Mężczyźni, którzy za nią idą, również nie oglądają się za siebie. Nawet gdyby mnie zauważyli, do czego nie dopuszczam, nie dostrzegliby niczego, czego mogliby się bać. Zawsze tak jest.

Na następnym rogu ulicy dziewczyna skręca w prawo i znika w drzwiach.

Chowam się w cień i obserwuję przebieg wydarzeń. Mężczyźni zatrzymują się przed budynkiem, do którego weszła dziewczyna, i naradzają się, co dalej. Następnie wchodzi do środka.

Stojąc na chodniku, spoglądam w górę na pozabijane deskami okna. Budynek, do którego weszła dziewczyna, to pusty magazyn z tablicami WSTĘP WZBRONIONY. Drzwi są uchylone. Wślizguję się do środka w ciemność tak gęstą, że muszę się zatrzymać, by przyzwyczaić oczy. Tymczasem polegam na pozostałych zmysłach, badam za ich pomocą to, czego nie widzę. Słyszę skrzypienie podłogi. Czuję zapach topiącego się wosku zapalonej świecy. Widzę słabą poświatę wydobywającą się zza drzwi po lewej stronie. Staję przy nich i zaglądam do pokoju.

Dziewczyna klęczy przy prowizorycznym stoliku. Jej twarz oświetla migoczący płomień świecy. Wokół widać ślady tymczasowego zamieszkania: śpiwór, jakieś konserwy i mała kuchenka turystyczna. Dziewczyna zмага się z opornym otwieraczem do puszek i nie ma pojęcia, że od tyłu zakrada się do niej dwóch mężczyzn.

Nabieram powietrza, by krzyknąć i ją ostrzec, ale w tym momencie ona odwraca się i staje na wprost intruzów. W ręce ściska otwieracz do puszek – dość mizerną broń w starciu z dwoma wielkimi mężczyznami.

– To mój dom – rzuca. – Wynoście się.

Jestem gotowa w każdej chwili interweniować, ale czekam, bo chcę zobaczyć, co się stanie. Chcę zobaczyć, do czego jest zdolna.

– Przyszliśmy w gości, słonko – mówi jeden z nich i rechocze.

– Czy ja was zapraszałam?

– Zdaje się, że brakuje ci towarzystwa.

– A mnie się zdaje, że tobie brakuje oleju w głowie.

Niezbym mądrze to rozgrywa. Teraz ich pożądanie miesza się ze złością, a to niebezpieczna kombinacja. Mimo to dziewczyna stoi opanowana i spokojna, wymachując tym żalosnym kuchennym

narzędziem. Kiedy mężczyzna rzuca się do przodu, stoję już na palcach gotowa do skoku.

Ale ona skacze pierwsza. Wystarcza jeden ruch i już uderza stopą pierwszego napastnika w krocze. To mało elegancki, lecz skuteczny cios. Mężczyzna chwieje się i łapie za pierś, jakby nie mógł oddychać. Dziewczyna uprzedza ruch drugiego napastnika. Odwraca się w jego stronę i uderza go w bok głowy otwieraczem do puszek. Mężczyzna wyje z bólu i wycofuje się.

Robi się ciekawie.

Ten pierwszy już się pozbierał i rzuca się na nią z taką furią, że oboje się przewracają. Dziewczyna kopie i wali pięściami, uderza go nawet w szczękę, ale wściekłość uodporniła go na ból i z rykiem opada na nią, unieruchamiając ją ciężarem swojego ciała.

Teraz do akcji wraca drugi napastnik. Łapie ją za nadgarstki i przyciska do podłogi. Młodość i brak doświadczenia wpakowały ją w tarapaty, z których nie ma jak uciec. Nie brak jej determinacji i woli walki, ale jest w tych sprawach niewyszkolonym żółtodziobem. Sytuacja nieuchronnie zmierza ku tragicznemu finałowi. Pierwszy napastnik rozpiął jej dżinsy i gwałtownym ruchem ściąga je z jej bioder. Jest wyraźnie podniecony, w kroczu jego spodnie wybrzuszają się znacząco. W takim momencie mężczyzna jest najbardziej narażony na atak.

Nie wie, że się zbliżam, nie słyszy mnie. W jednej chwili rozpina rozporek, a w drugiej leży na podłodze z rozwaloną szczęką i wybitym zębem, który wypada z jego zakrwawionych ust.

Drugi puszcza dziewczynę i odskakuje, ale nie jest wystarczająco szybki. Jestem tygrysem, a on zaledwie ociężałym bawołem, głupim i bezradnym wobec mojego ataku. Wrzeszcząc, pada na podłogę. Sądząc po groteskowym wygięciu ramienia, złamałam mu kość.

Łapię dziewczynę i stawiam ją na nogi.

– Nic ci nie jest?

Zapina spodnie i gapi się na mnie.

– Kim, do diabła, jesteś?

– O tym porozmawiamy później. Teraz wynośmy się stąd! –

krzyczę.

– Jak ci się to udało? Jakim cudem tak szybko dałaś im radę?

– Chcesz się tego nauczyć?

– Tak!

Spoglądam na mężczyzn, którzy jęczą z bólu u naszych stóp.

– W takim razie oto pierwsza lekcja: trzeba wiedzieć, kiedy uciekać. – Popycham ją w stronę drzwi. – Odpowiedni moment jest właśnie teraz.

□ □ □

Obserwuję ją, gdy je. Jak na taką drobną dziewczynę ma iście wilczy apetyt. Pochłania trzy taco z kurczakiem, michę purée z fasoli i duży kubek coca-coli. Miała ochotę na kuchnię meksykańską, więc siedzimy w knajpie, w której gra muzyka mariachi, a ściany ozdabiają tandetne malowidła przedstawiające tańczące señority. Choć ma chińskie rysy twarzy, bez wątpienia jest Amerykanką, począwszy od krótko obciętych włosów aż po wytarte džinsy. Pozbawiona oglady, nieokrzesana istota, która, siorbiąc, dopija coca-colę, a następnie miażdży zębami kostki lodu.

Zaczynam wątpić w powodzenie tego przedsięwzięcia. Jest za duża na naukę i zbyt narowista, by przywyknąć do dyscypliny. Powinnam wypuścić ją z powrotem na ulicę, skoro tego właśnie chce, i znaleźć inne rozwiązanie. Ale zauważam blizny na jej knykciach i przypominam sobie, jak niewiele brakowało, by w pojedynkę pokonała dwóch mężczyzn. Ma nieoszlifowany talent i jest nieustraszona – dwie rzeczy, których nie można się nauczyć.

– Pamiętasz mnie? – pytam.

Dziewczyna odstawia szklankę i ściąga brwi. Przez moment wydaje mi się, że zaczyna mnie rozpoznawać, ale po chwili to wrażenie znika. Dziewczyna kręci głową.

– To było dawno – mówię. – Dwanaście lat temu. – Dla dziewczyny w jej wieku to cała wieczność. – Byłaś mała.

Wzrusza ramionami.

– Nic dziwnego, że cię nie pamiętam. – Sięga do kieszeni kurtki,

wyciąga papierosa i zaczyna go zapalać.

– Zanieczyszczasz swoje ciało.

– To moje ciało – odpowiada.

– Nie, jeśli chcesz się szkolić. – Przechyliam się nad stołem i wyciągam papierosa z jej ust. – Jeśli chcesz się uczyć, musisz zmienić swoje nastawienie. Musisz okazać szacunek.

– Nie jesteś moją matką – prycha oburzona.

– Znałam twoją matkę. W Bostonie.

– Ale ona nie żyje.

– Wiem. Napisała do mnie miesiąc przed śmiercią. Pisała, że jest chora i zostało jej mało czasu. Dlatego tu jestem.

Zaskoczona, dostrzegam w jej oczach łzy. Dziewczyna szybko odwraca głowę, jakby zawstydzona tym, że okazała słabość. Ale w tym ułamku sekundy, gdy jest pozbawiona pancerza i taka bezbronna, przypomina mi moją córkę, która była od niej młodsza, gdy ją straciłam. Do oczu napływają mi łzy, ale nie próbuję ich ukryć. Smutek sprawił, że jestem tym, kim jestem. Był oczyszczającym ogniem, który wzmógł moją determinację i wyostrzył cel.

Potrzebuję tej dziewczyny, a ona najwyraźniej potrzebuje mnie.

– Szukałam cię kilka tygodni – mówię.

– Rodzina zastępcza była do dupy. Lepiej mi samej.

– Gdyby mama cię teraz zobaczyła, pękłoby jej serce.

– Nigdy nie miała dla mnie czasu.

– Może dlatego, że pracowała na dwa etaty, żebyś miała co jeść? Bo nie miała nikogo i mogła liczyć tylko na siebie?

– Pozwalała wszystkim wchodzić sobie na głowę. Nigdy się nie postawiła. Nawet wobec mnie była miękka.

– Bała się.

– Była tchórzem.

Wściekła na tego niewdzięcznego bachora, pochylam się do przodu.

– Twoja biedna matka cierpiała w sposób, którego nie możesz sobie wyobrazić. Wszystko, co robiła, robiła dla ciebie. – Z odrazą rzucam w jej stronę papierosa. Nie tego się spodziewałam. Może

jest silna i odważna, ale nie ma żadnego poczucia powinności wobec zmarłych matki i ojca, brakuje jej poczucia rodzinnego honoru. Pozbawieni więzi z naszymi przodkami, jesteśmy samotnymi drobinami kurzu znoszonymi przez prąd i zagubionymi, do niczego i nikogo nieprzywiązanymi.

Płacę za jej kolację i wstaję.

– Mam nadzieję, że któregoś dnia znajdziesz w sobie dość mądrości, by zrozumieć, co mama dla ciebie poświęciła.

– Odchodzisz?

– Niczego nie mogę cię nauczyć.

– A niby dlaczego miałabyś to robić? Dlaczego w ogóle mnie szukałaś?

– Myślałam, że znajdę kogoś innego. Kogoś, kogo mogłabym uczyć. Kogoś, kto by mi pomógł.

– W czym?

Nie wiem, jak odpowiedzieć na jej pytanie. Przez chwilę słysząc tylko muzykę mariachi, która sączy się z głośników.

– Pamiętasz swojego ojca? Pamiętasz, co się z nim stało?

Dziewczyna wpatruje się we mnie.

– O to chodzi, tak? To dlatego mnie szukałaś? Bo mama ci o nim napisała.

– Twój ojciec był dobrym człowiekiem. Kochał cię, a ty go nie szanujesz. Nie szanujesz obojga rodziców. – Kładę przed nią plik banknotów. – To ze względu na pamięć o nich. Przestań żyć na ulicy i wracaj do szkoły. Tam przynajmniej nie będziesz musiała walczyć z obcymi mężczyznami. – Odwracam się i wychodzę z restauracji.

Nie mija kilka sekund, a dziewczyna jest już na dworze i biegnie za mną.

– Zaczekaj! – woła. – Dokąd idziesz?

– Wracam do domu, do Bostonu.

– Pamiętam cię. Chyba wiem, czego chcesz.

Zatrzymuję się i stoję z nią twarzą w twarz.

– Ty też powinnaś tego chcieć.

– Co miałabym zrobić?

Mierzę ją wzrokiem, widzę jej mizerne ramiona i biodra tak wąskie, że ledwo trzymają się na nich dżinsy.

– Nie chodzi o to, co miałabyś zrobić – odpowiadam – lecz o to, kim będziesz musiała się stać. – Zbliżam się do niej powoli. Jak dotąd nie miała powodu, by się mnie bać. Bo niby dlaczego? Przecież jestem tylko kobietą. Ale teraz dostrzega w moich oczach coś, co sprawia, że robi krok do tyłu.

– Boisz się? – pytam miękko.

Jej broda drży. Odpowiada z dziecinną brawurą w głosie:

– Nie. Wcale się nie boję.

– A powinnaś.

Rozdział drugi

Siedem lat później

– Nazywam się Maura Isles, nazwisko pisze się I-S-L-E-S. Jestem lekarzem sądowym, zatrudnionym przez Urząd Lekarza Sądowego stanu Massachusetts.

– Doktor Isles, proszę opisać sądowi swoje wykształcenie i przygotowanie zawodowe – powiedziała Carmela Aguilar z prokuratury hrabstwa Suffolk.

Odpowiadając na pytanie, Maura patrzyła wyłącznie na oskarżycielkę. O wiele łatwiej skupić się na neutralnej twarzy Carmeli Aguilar, niż znosić spojrzenia oskarżonego i jego licznych, zgromadzonych w sali sądowej zwolenników. Pani Aguilar najwyraźniej nie przeszkadzało, że prowadzi sprawę przed wrogo nastawioną publicznością, ale Maura była tego wyjątkowo świadoma. Dużą część tej publiczności stanowili przedstawiciele organów ścigania i ich znajomi. Maura wiedziała, że nie spodoba im się to, co powie.

Oskarżonym był Wayne Brian Graff, szeroki w barach policjant o mocno zarysowanej szczęce, istne wcielenie amerykańskiego bohatera. Sympatia całej sali była po stronie Graffa, a nie ofiary – mężczyzny, który sześć miesięcy temu z licznymi obrażeniami trafił na stół w prosektorium Maury. Mężczyzny, którego nikt nie opłakiwał i którego nikt nie szukał. A który dwie godziny przed śmiercią popełnił tragiczny błąd polegający na zastrzeleniu

policjanta.

Recytując swój życiorys, Maura czuła, jak spojrzenia publiczności palą jej twarz, gorące niczym końcówki lasera.

– Jestem absolwentką Uniwersytetu Stanforda, gdzie zrobiłam licencjat z antropologii. Studia medyczne ukończyłam na Uniwersytecie Kalifornijskim w San Francisco, tam również odbyłam pięcioletni staż w zakresie patologii. Mam specjalizację zarówno z patologii anatomicznej, jak i klinicznej. Po stażu otrzymałam dwuletnie stypendium naukowo-badawcze z zakresu medycyny sądowej na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles.

– I jest pani uprawniona do wykonywania zawodu w swojej specjalności na podstawie zdanego egzaminu państwowego?

– Tak, proszę pani. Zarówno z zakresu patologii ogólnej, jak i medycyny sądowej.

– A gdzie pani pracowała przed objęciem stanowiska w Urzędzie Lekarza Sądowego w Bostonie?

– Przez siedem lat pracowałam jako lekarz patolog w Urzędzie Lekarza Sądowego w San Francisco w Kalifornii. Wykładałam również patologię na Uniwersytecie Kalifornijskim. Jestem uprawniona do wykonywania zawodu zarówno w stanie Massachusetts, jak i w Kalifornii. – Odpowiedź Maury była aż nadto wyczerpująca. Zauważyła, że pani Aguilar ściąga brwi, ponieważ zbiła ją z tropu, uprzedzając kolejne pytanie. Tyle razy recytowała swój życiorys zawodowy w sądzie, że doskonale wiedziała, o co zostanie zapytana, a jej odpowiedzi były niemal automatyczne. Gdzie praktykowała, jakie musiała spełnić wymagania dotyczące wykształcenia, umiejętności i doświadczenia, czy ma wystarczające kwalifikacje, by zeznawać w tej konkretnej sprawie.

Po zakończeniu formalności Aguilar przeszła do bardziej szczegółowych pytań.

– Czy w październiku zeszłego roku przeprowadziła pani autopsję zmarłego Fabiana Dixona?

– Tak – odpowiedziała Maura. Choć odpowiedź była rzeczowa, Maura natychmiast poczuła, że na sali podnosi się temperatura.

– Proszę powiedzieć, jak do tego doszło, że śmierć pana Dixona stała się sprawą dla lekarza sądowego?

Aguilar stała ze wzrokiem utkwionym w Maurę, jakby chciała jej powiedzieć: „Ignoruj wszystkich na tej sali. Patrz tylko na mnie i mów o faktach”.

Maura wyprostowała się i zaczęła mówić tak głośno, by każdy mógł ją usłyszeć.

– Zmarły był dwudziestoczteroletnim mężczyzną, którego znaleziono bez oznak życia na tylnym siedzeniu radiowozu bostońskiej policji. Został przewieziony karetką do szpitala ogólnego stanu Massachusetts, gdzie na oddziale doraźnej pomocy stwierdzono zgon.

– I przez to jego śmierć stała się sprawą dla lekarza sądowego?

– Tak jest. Z oddziału został przewieziony do naszego prosektorium.

– Proszę opisać sądowi, jak wyglądał pan Dixon, gdy zobaczyła go pani po raz pierwszy.

Nie uszło uwagi Maury, że Carmela Aguilar mówi o zmarłym mężczyźnie, używając jego nazwiska i unikając takich określeń, jak „ciało” lub „zmarły”. W ten sposób przypominała sądowi, że ofiara miała tożsamość. Nazwisko, twarz i życie.

Maura odpowiedziała w podobnym stylu:

– Pan Dixon był dobrze odżywionym mężczyzną, przeciętnego wzrostu i wagi, którego przywieziono do naszego zakładu jedynie w bawełnianych slipkach i skarpetkach. Ubranie, które wcześniej miał na sobie, zdjęto w trakcie próby reanimacji na oddziale doraźnej pomocy. Podkładki EKG nadal były przyklejone do jego piersi, na prawym ramieniu miał założony wenflon. – Przerwała. Teraz zaczyna się najmniej przyjemna część. Choć starała się nie patrzeć na publiczność i obrońcę, wiedziała, że oczy wszystkich zebranych skierowane są na nią.

– A w jakim stanie znajdowało się jego ciało? Czy może nam pani opisać, jak wyglądało? – ponagliła ją Aguilar.

– Na piersiach, lewym boku i górnej części brzucha widać było

liczne siniaki. Miał zamknięte i opuchnięte oczy, a na wargach i głowie rany szarpane. Dwa górne zęby, siekacze, były wybite.

– Sprzeciw. – Adwokat oskarżonego wstał. – Nie wiemy, kiedy stracił te zęby. Być może stało się to wiele lat temu.

– Jeden z zębów znaleźliśmy po wykonaniu prześwietlenia. Znajdował się w jego brzuchu – powiedziała Maura.

– Świadek winien powstrzymać się od wypowiadania swoich opinii, o ile nie zdecyduje inaczej – oznajmił sędzia surowo. Spojrzał na adwokata. – Sprzeciw oddalony. Pani Aguilar, proszę kontynuować.

Aguilarkiwnęgłowąilekkosięuśmiechnęła,usatisfakcjonowana decyzją sędziego, po czym znów skupiła uwagę na Maurze.

– Zatem pan Dixon był bardzo posiniaczony, miał rany szarpane i przynajmniej jeden z jego zębów został niedawno wybity.

– Tak – potwierdziła Maura. – Zobaczycie to państwo na zdjęciach z sekcji zwłok.

– Za pozwoleniem Wysokiego Sądu, chcielibyśmy pokazać teraz zdjęcia wykonane w prosektorium – powiedziała Carmela Aguilar. – Muszę ostrzec publiczność, że są drastyczne. Jeśli ktoś z tu obecnych wolałby ich nie oglądać, radzę, by teraz opuścił salę. – Przerwała i rozejrzała się.

Nikt nie wyszedł.

Kiedy na ekranie pokazał się pierwszy slajd przedstawiający z maltretowane ciało Fabiana Dixona, słychać było, jak wszyscy oddychają głęboko. Maura powściągliwie opisała obrażenia Dixona, ponieważ wiedziała, że zdjęcia mówią same za siebie. Fotografii nie można oskarżyć o to, że trzymają czyjaś stronę albo kłamią. Przemawiająca przez nie prawda była dla wszystkich oczywista: Fabian Dixon, nim znalazł się na tylnym siedzeniu radiowozu, został brutalnie pobity i maltretowany.

Na ekranie ukazywały się kolejne slajdy, a Maura opisywała, co odkryła w trakcie autopsji. Liczne złamania żeber. Połknięty ząb w żołądku. Krew w płucach, którą musiał zachłyśnąć się Dixon. I przyczyna śmierci: pęknięcie śledziony, które spowodowało

krwotok do jamy otrzewnowej.

– A jaki był charakter zgonu pana Dixona, doktor Isles? – spytała pani Aguilar.

Było to kluczowe pytanie, a Maura bała się odpowiedzi, bo wiedziała, jakie niesie konsekwencje.

– Zabójstwo – powiedziała. Nie do niej należy wskazywanie winnych. Ograniczyła swoją odpowiedź do tego jednego słowa, ale nie mogła się powstrzymać i spojrzała na Wayne’a Graffa. Oskarżony policjant siedział bez ruchu. Z jego twarzy trudno było cokolwiek wyczytać. Służył w bostońskiej policji od ponad dziesięciu lat i przez ten czas dał się poznać jako wzorowy funkcjonariusz. Kilkanaście cieszących się dobrą opinią osób świadczyło w sądzie na jego korzyść. Opowiadali, jak funkcjonariusz Graff dzielnie przybył im z pomocą. Był bohaterem, mówili, a Maura im wierzyła.

Jednak trzydziestego pierwszego października, tego wieczoru, gdy Fabian Dixon został zamordowany, Wayne Graff i jego partner stali się aniołami zemsty. To oni dokonali aresztowania, a Dixon w chwili śmierci znajdował się pod ich kuratelą. *Podejrzany był pobudzony i agresywny, jakby znajdował się pod wpływem PCP albo cracku*, napisali w oświadczeniu. Opisali szaleńczy opór, jaki stawiał Dixon, i jego nadludzką siłę. *Opanowanie go wymagało użycia siły, ale nie sprawiał wrażenia, że odczuwa ból. Podczas szamotaniny pochrząkiwał i wydawał zwierzęce odgłosy, usiłował również zedrzeć z siebie ubranie, choć tamtego wieczoru było tylko niecałe pięć stopni powyżej zera*. Opisali aż nazbyt precyzyjnie dobrze znany lekarzom stan majaczenia z pobudzeniem psychoruchowym, który doprowadził do śmierci innych więźniów znajdujących się pod wpływem kokainy.

Jednak kilka miesięcy później wyniki badań toksykologicznych wykazały, że Dixon znajdował się jedynie pod wpływem alkoholu. Maura nie miała wątpliwości, że został zamordowany. A jeden z zabójców siedział teraz przy stole obrony i wpatrywał się w nią.

– Nie mam więcej pytań – powiedziała prokurator i usiadła z wyrazem zadowolenia na twarzy. Była pewna sukcesu.

Adwokat Morris Whaley wstał, by zadać pytania, i Maura poczuła, jak jej mięśnie się napinają. Whaley sprawiał wrażenie miłego faceta. Podeszedł do miejsca dla świadka zupełnie tak, jakby zamierzał uciąć sobie przyjacielską pogawędkę. Gdyby spotkali się na jakimś koktajlu, Maura mogłaby nawet uznać, że jego towarzystwo jest dość przyjemne. W garniturze od Brooks Brothers wyglądał całkiem przystojnie.

– Myślę, że wszyscy jesteście pod wrażeniem pani kwalifikacji, doktor Isles – zaczął. – Nie będę zatem zabierał czasu Wysokiemu Sądowi i poddawał analizie pani osiągnięć naukowych.

Maura milczała. Wpatrywała się w jego uśmiechniętą twarz i zastanawiała, z której strony nadejdzie atak.

– Zapewne nikt na tej sali nie wątpi, że ciężko zapracowała pani na swoją pozycję – ciągnął Whaley. – Zwłaszcza mając na uwadze pewne trudności w życiu prywatnym, którym musiała pani stawić czoło w ostatnich miesiącach.

– Sprzeciw. – Carmela Aguilar westchnęła zirytowana i wstała. – To nie ma związku ze sprawą.

– Ma, Wysoki Sądzie. Wpływa na osąd świadka – powiedział Whaley.

– W jaki sposób? – spytał natychmiast sędzia.

– Doświadczenia z przeszłości mogą mieć wpływ na to, jak świadek interpretuje dowody.

– O jakich doświadczeniach pan mówi?

– Jeśli Wysoki Sąd pozwoli, bym zadał pytania w tej sprawie, stanie się to oczywiste.

Sędzia spojrzał twardo na Whaleya.

– Na razie wyrażam zgodę na tę linię pytań. Ale tylko na razie. Aguilar usiadła zagniewana.

Whaley znów skupił uwagę na Maurze.

– Doktor Isles, czy pamięta pani dzień, w którym badała pani zmarłego?

Maura zastanawiała się przez chwilę nad odpowiedzią, zaskoczona nagłym powrotem do tematu sekcji zwłok. Nie uszło jej

uwagi, że Whaley unika używania nazwiska ofiary.

– Ma pan na myśli pana Dixona? – spytała i dostrzegła w jego oczach irytację.

– Tak.

– Sekcja zwłok została przeprowadzona pierwszego listopada zeszłego roku.

– Czy tego dnia ustaliła pani przyczynę zgonu?

– Tak. Jak wcześniej powiedziałam, pan Dixon zmarł na skutek krwotoku do jamy otrzewnowej, do którego doszło z powodu pęknięcia śledziony.

– Czy tego samego dnia ustaliła pani charakter zgonu?

Maura się zawahała.

– Nie. W każdym razie nie ostateczny...

– Dlaczego?

Odetchnęła głęboko, świadoma, że wpatrują się w nią dziesiątki par oczu.

– Chciałam poczekać na wyniki badań toksykologicznych. Sprawdzić, czy pan Dixon rzeczywiście znajdował się pod wpływem kokainy lub innych środków farmaceutycznych. Wołałam zachować ostrożność.

– Cóż, powinna pani. W końcu ta decyzja mogła zniszczyć karierę zawodową, ba, nawet złamać życie dwóch oddanych pracy funkcjonariuszy porządku publicznego.

– Mnie interesują jedynie fakty, panie mecenasie, i to, dokąd prowadzą.

Nie spodobała mu się ta odpowiedź. Widziała to po skurczu mięśni jego szczęki. Wszelkie pozory serdeczności znikły. Teraz zaczęła się prawdziwa wojna.

– A zatem przeprowadziła pani sekcję zwłok pierwszego listopada – powiedział.

– Tak.

– Co się potem stało?

– Nie bardzo wiem, co ma pan na myśli.

– Czy wzięła pani wolny weekend? Czy w kolejnym tygodniu

przeprowadzała pani inne sekcje?

Wpatrywała się w niego, a niepokój niczym wąż oplatał jej żołądek. Nie wiedziała, dokąd Whaley zmierza, ale obrany przez niego kierunek jej się nie podobał.

– Byłam na konferencji patologów – powiedziała.

– W Wyoming, tak?

– Tak.

– Gdzie doświadczyła pani pewnych traumatycznych przeżyć.

Została pani zaatakowana przez nieuczciwego policjanta.

Aguilar skoczyła na równe nogi.

– Sprzeciw. To nie ma związku ze sprawą.

– Sprzeciw oddalony – rzucił sędzia.

Whaley się uśmiechnęła. Miał teraz wolną drogę, by zadać pytanie, którego Maura się obawiała.

– Czy to prawda, pani Isles? Została pani zaatakowana przez policjanta?

– Tak – szepnęła.

– Niestety, nie usłyszałem odpowiedzi.

– Tak – powtórzyła głośniejszym głosem.

– I jak przeżyła pani tę napaść?

Na sali zapadła martwa cisza. Wszyscy w napięciu czekali na dalszy ciąg tej historii. Historii, o której nie chciała nawet myśleć, ponieważ nadal z jej powodu nawiedzały ją nocne koszmary. Przypomniła sobie opuszczone wzgórze w Wyoming. A także głuchy odgłos zatraskiwanych drzwi samochodu zastępcy szeryfa. Drzwi, które zamknęły się za nią, usidlając ją na tylnym siedzeniu za kratami odgradzającymi aresztowanych. Przypomniła sobie, jak wpadła w panikę i daremnie waliła ręką w szybę, usiłując uciec przed człowiekiem, który zamierzał ją zabić.

– Doktor Isles, jak udało się pani przeżyć tę napaść? Kto pani pomógł?

Maura przełknęła ślinę.

– Pewien chłopiec.

– Zapewne Julian Perkins. Szesnastolatek, który postrzelił i zabił

tego policjanta.

– Nie miał wyboru!

Whaley pokręcił głową.

– Broni pani chłopca, który zabił gliniarza?

– Złego gliniarza.

– A potem przyjechała pani do Bostonu. I stwierdziła, że pan Dixon zmarł w wyniku zabójstwa.

– Ponieważ taka jest prawda.

– A może to był nieszczęśliwy wypadek? Nieunikniona konsekwencja braku subordynacji aresztowanego, który stawiał czynny opór policjantom i trzeba go było przywołać do porządku?

– Widział pan zdjęcia z prosektorium. Policjanci użyli dużo większej siły, niż było to konieczne.

– Podobnie jak chłopiec z Wyoming, Julian Perkins. Postrzelił ze skutkiem śmiertelnym zastępcę szeryfa. Czy uważa to pani za uzasadnione użycie siły?

– Sprzeciw – odezwała się Carmela Aguilar. – Pani Isles nie jest pozwanym w tej sprawie.

Adwokat jednak ani myślał przestać, sunął jak taran i nie spuszczając wzroku z Maury, zadał kolejne pytanie:

– Co się wydarzyło w Wyoming, doktor Isles? Kiedy walczyła pani o życie, czy doznała pani jakiegoś objawienia? Nagle zdała sobie pani sprawę, że policjanci są wrogami?

– Sprzeciw!

– A może policjanci od zawsze byli wrogami? Członkowie pani rodziny najwyraźniej tak myślą.

Rozległo się stuknięcie sędziowskiego młotka.

– Panie Whaley, proszę do mnie natychmiast podejść.

Maura siedziała oszołomiona, podczas gdy adwokat i oskarżycielka nachylali się nad stołem sędziego. A więc do tego doszło. Zaczęło się wyciąganie na światło dzienne jej rodzinnych spraw. Zapewne każdy gliniarz w Bostonie słyszał o jej matce, Amalthei, która odbywa karę dożywocia w więzieniu dla kobiet we Framingham. Ten potwór, który mnie urodził, pomyślała. Każdy, kto

na mnie patrzy, musi się zastanawiać, czy do mojej krwi przesączył się ten sam zły duch. Zauważyła, że Graff, oskarżony policjant, wpatruje się w nią intensywnie. Ich spojrzenia skrzyżowały się, a na jego ustach pojawił się uśmiech. „Witajcie konsekwencje, przeczytała w jego oczach. Oto, co się dzieje, gdy zdradzisz cienką niebieską linię”*, występując przeciwko tym, którzy z narażeniem życia stoją na straży prawa i porządku.

– Sąd zarządza przerwę – oznajmił sędzia. – Spotkamy się ponownie o czternastej.

Kiedy wyszedł z sali, Maura opadła na oparcie krzesła. Nie zauważyła nawet, że Carmela Aguilar stanęła obok niej.

– To było nieczyste zagranie – oświadczyła. – Sędzia nie powinien na to pozwolić.

– Wszystko skupiło się na mnie – powiedziała Maura.

– Oczywiście. Bo nic innego nie ma. A zdjęcia z sekcji zwłok są bardzo przekonujące. – Aguilar spojrzała twardo na Maurę. – Czy o czymś jeszcze powinienam wiedzieć, pani doktor?

– Oprócz tego, że moja matka jest skazana za morderstwo, a ja torturuję dla zabawy kocięta?

– Pytam poważnie.

– Sama pani wcześniej mówiła, że to nie jest sąd nade mną.

– To prawda. Ale oni już się postarają, żeby odwrócić role. Będą drażyli. Czy nienawidzi pani glin? Czy ma pani jakieś tajemnice? Możemy przegrać tę sprawę, jeśli ława przysięgłych nie będzie przekonana o pani bezstronności i uczciwości. Dlatego proszę mi powiedzieć, czy jest coś jeszcze, co mogą wyciągnąć na światło dzienne? Jakieś tajemnice, o których mi pani nie wspomniała?

Maura zastanowiła się nad sprawami, które wołała zachować dla siebie. Nad trzymanym w tajemnicy romansem, który właśnie zakończyła. Nad pełną przemocy historią jej rodziny.

– Każdy ma swoje tajemnice – odparła. – Moje nie mają związku

*Cienka niebieska linia (ang. *thin blue line*) – emblemat przedstawiający niebieską linię na czarnym tle stosowany jest w USA dla okazania wsparcia policjantom.

z tą sprawą.

– Miejmy nadzieję.

Rozdział trzeci

W bostońskim Chinatown, gdziekolwiek spojrzeć, wszędzie widać duchy. Nawiedzają spokojne Tai Tung Village, a także krzykliwą Beach Street. Błąkają się po Ping On Alley i przemykają cichaczem ciemną ulicą na tyłach Oxford Place. Można je spotkać na każdej ulicy. Tak przynajmniej mówił przewodnik Billy Foo. Czy sam wierzył w duchy? To nie miało większego znaczenia. Jego zadaniem było przekonać turystów, że te ulice są nawiedzone. Ludzie chcieli wierzyć w duchy. Dlatego tak wielu z nich było gotowych wybulić piętnaście dolców od osoby, żeby dygocząc z zimna, stać na rogu Beach i Oxford, wysłuchując mrożących krew w żyłach opowieści Billy'ego o popełnionych tu morderstwach. Tego wieczoru trzynastu nowicjuszy, w tym dziesięcioletnie smarkate bliźniaki, które od trzech godzin powinny być już w łóżkach, zapisało się na wieczorną Wycieczkę z Duchami. Ale kiedy jesteś w biedzie, nie odmawiasz turystom, którzy płacą gotówką, nawet jeśli są to irytujący smarkacze. Billy był studentem szkoły teatralnej, bez żadnych perspektyw na pracę, a tego wieczoru miało mu wpaść do kieszeni sto dziewięćdziesiąt pięć dolarów plus napiwki. Nie najgorzej jak na dwie godziny opowiadania bajek, nawet jeśli w cenę wliczone było jego upokorzenie wynikające z konieczności noszenia satynowej szaty w kolorze pomarańczowym i przypinanego warkocza.

Billy odchrząknął i podniósł ręce, wykorzystując umiejętność przyciągnięcia uwagi widzów nabyte podczas sześciu semestrów zajęć teatralnych.

– Rok tysiąc dziewięćset siódmy! Drugi sierpnia, ciepły piątkowy wieczór. – Jego głęboki, złowroźny głos wznosił się ponad ulicznym zgiełkiem. – Tam, na placu znanym jako Oxford Place, bije serce bostońskiego Chinatown. Chodźcie za mną, a cofniemy się do czasów, gdy te ulice wypełniali imigranci, kiedy parne noce przesycone były zapachem spoconych ciał i nieznanych przypraw. Wrócimy do czasów, gdy morderstwo wisiało w powietrzu! – Dramatycznym gestem dał znać grupie, by podążyła za nim na Oxford Place, gdzie wszyscy zbili się wokół niego w gromadkę, by lepiej słyszeć przerażającą opowieść. Patrząc na ich skupione twarze, pomyślał, że teraz jest ten moment, kiedy powinien ich oczarować, rzucić urok, tak jak tylko dobry aktor potrafi. Rozpostarł ramiona i nabrał powietrza, a rękawy pomarańczowej szaty zatrzepotały niczym jedwabne skrzydła.

– Maaamusiu! – krzyknął jeden z dzieciaków. – On mnie kopie!

– Przestań, Michael! – krzyknęła matka. – Natychmiast przestań się tak zachowywać.

– Ja nic nie zrobiłem!

– Dokuczasz bratu.

– To on mi dokucza.

– Chcecie wrócić do hotelu? Chcecie?

Och, dobry Boże, proszę, niech wróćą do hotelu, pomyślał Billy. Ale bracia spoglądali na siebie spode łba ze skrzyżowanymi na piersiach rękami i widać było, że nie interesują ich w tej chwili żadne historie o duchach.

– Jak już mówiłem... – podjął dzielnie Billy.

Czuł jednak, że przez to niespodziewane zająście stracił natchnienie. Niemal słyszał, jak pełne dramatyzmu napięcie ulatuje ze świstem niczym powietrze z przekłutego balonu. Zagryzając zęby, mówił dalej:

– Była parna sierpniowa noc. Tłum żółtków odpoczywał na tym

oto placu po długim dniu pracy w pralniach i sklepach spożywczych.

Nie cierpiał słowa „żółtki”, ale zmusił się, by go użyć. Chciał bowiem przywołać czasy, gdy w prasie regularnie pisano o „podejrzanych i złowrogich Azjatach”. Nawet magazyn „Time” nie widział nic złego w opisywaniu złośliwych tępych twarzy z przyklejonym półuśmiechem na ustach tak żółtych jak telegraficzne formularze. Czasy, gdy Billy Foo, amerykański Chińczyk, nie mógł znaleźć żadnej pracy poza posadą pracza, kucharza lub robotnika.

– Tu, na tym oto placu, za chwilę wybuchnie wojna – ciągnął Billy.
– Wojna pomiędzy dwoma rywalizującymi chińskimi klanami: On Leong i Hip Sing. Wojna, w trakcie której ten plac spłynie krwią... Ktoś odpala petardę. Nagle noc eksploduje strzelaniną! Tłum żółtków ucieka w popłochu! Ale nie wszyscy biegną wystarczająco szybko i kiedy cichną strzały, pięciu ludzi leży na ulicy martwych lub dogorywających. To tylko kolejne ofiary niechlubnych krwawych i zażartych wojen...

- Mamusiu, możemy już iść?
- Cicho. Słuchajcie, co pan opowiada.
- Ale on jest nuuudny.

Billy przerwał. Aż go swędziały dłonie, taką miał ochotę złapać smarkacza za gardło. Rzucił chłopakowi jadowite spojrzenie. Ten wzruszył ramionami.

– W mgliste noce takie jak dziś – mówił Billy przez zaciśnięte zęby – słychać czasem w oddali odgłosy tamtych petard. Można dostrzec tajemnicze postacie, jak mkną śmiertelnie przerażone, uciekając przed kulami, które gwizdały w powietrzu tamtej nocy!
– Billy odwrócił się i zamachał ręką. – Teraz przejdziemy na drugą stronę Beach Street. To kolejne miejsce, gdzie snują się duchy.

- Mamusiu, mamusiu!

Billy zignorował małego gnojka i poprowadził grupę na drugą stronę ulicy. Uśmiechaj się, nie przedstawaj nawijać, chodzi tylko o napiwki, powtarzał w duchu. Musiało mu starczyć energii jeszcze tylko na jedną godzinę. Kolejny przystanek miał być na Knapp Street. Potem jeszcze Tylor Street i salon gier, gdzie w 1991 roku zginęło

w masakrze pięciu mężczyzn. W Chinatown miejsc zbrodni jest pod dostatkiem.

Poprowadził grupę Knapp Street. Właściwie nie była to ulica, lecz przejście niewiele różniące się od zwykłej ścieżki, słabo oświetlone i rzadko uczęszczane. Kiedy światła i ruch uliczny Beach Street zostały już za nimi, temperatura nagle spadła. Billy, dygocząc z zimna, owinał się ciasno pomarańczową szatą. Już wcześniej, ilekroć pokonywał ten odcinek Knapp Street, doświadczał tego nieprzyjemnego zjawiska. Nawet w ciepłe letnie noce zawsze odczuwał tu zimno, jakby chłód zagnieździł się w tym miejscu na dobre i nigdy nie zamierzał go opuścić. Grupka turystów chyba również to odczuła. Usłyszał dźwięk zamykanych suwaków, zobaczył wyciągane z kieszeni rękawiczki. Szli w ciszy, a ich kroki odbijały się echem od ścian wznoszących się po obu stronach budynków. Nawet dwaj smarkacze zachowywali się spokojnie, jakby wyczuwali, że coś tu jest nie tak. Że coś wisi w powietrzu, pochłaniając wszelką radość i śmiech.

Billy zatrzymał się przed opuszczonym budynkiem. Zamknięta brama broniła dostępu do drzwi, a stalowe kraty zabezpieczały okna na parterze. Zardzewiałe schody przeciwpożarowe prowadziły na trzecie i czwarte piętro, gdzie wszystkie okna były zabite deskami, jakby miały uniemożliwić ucieczkę jakiemuś czającemu się w środku więźniowi. Grupa Billy'ego zbiła się w ciasną gromadkę dla ochrony przed chłodem. A może wyczuli na tej ulicy coś jeszcze, coś, co sprawiło, że dla większego bezpieczeństwa instynktownie zbliżyli się do siebie?

– Witajcie w miejscu, gdzie popełniono jedną z najbardziej makabrycznych zbrodni w Chinatown – powiedział Billy. – Szyld, który niegdyś wisiał na tym budynku, dawno zdjęto, ale dziewiętnaście lat temu za tymi okratowanymi oknami mieściła się mała chińska knajpka o nazwie Czerwony Feniks, specjalizująca się w owocach morza. Był to skromny lokal z zaledwie ośmioma stolikami, ale słynął ze świeżych małży. Wydarzyło się to trzydziestego marca. Wieczór był wilgotny i zimny. Wieczór taki jak

dziś, gdy zwykle ruchliwe ulice Chinatown nagle stają się dziwnie spokojne. W Czerwonym Feniksie pracowało wtedy zaledwie dwóch ludzi: kelner Jimmy Fang i kucharz, nielegalny chiński imigrant, który nazywał się Wu Weimin. Trzech gości przyszło tamtego wieczoru na kolację, która miała być ich ostatnią. Nigdy nie dowiemy się, dlaczego kucharz załamał się i wpadł w furję. Może z powodu długich godzin ciężkiej pracy? A może serce mu pękało, bo był obcy w obcym kraju?

Billy zrobił przerwę. Zniżył głos do przejmującego szeptu.

– A może zawładnęły nim jakieś ciemne moce, opętał go zły duch, który kazał mu sięgnąć po pistolet i wypchnął go z kuchni wprost na salę, gdzie siedzieli goście. Duch, który nadal błaka się po tej ciemnej ulicy. Jedyne, co wiemy, to to, że wycelował pistolet i... – Billy zamilkł.

– I co zrobił? – spytał ktoś niecierpliwie.

Ale uwagę Billy’ego przykuło coś, co znajdowało się wysoko w górze, nad ich głowami. Stał ze wzrokiem utkwionym w dachu, gdzie – mógłby przysiąc – coś się przed chwilą poruszyło. Było to zaledwie mignięcie czegoś czarnego na czarnym tle, jak trzepot skrzydeł wielkiego ptaka na tle nocnego nieba. Wyciągał szyję, by zobaczyć to jeszcze raz, ale jedyne, co ujrzał, to zarys schodów przeciwpożarowych.

– I co się potem stało? – dopytywał jeden ze smarkaczy.

Billy spojrzał na dziesięcioletnią buzię i wlepione w niego oczy i usiłował przypomnieć sobie, w którym momencie przerwał opowieść. Ale nadal był pod wrażeniem tego czegoś, co śmignęło na tle nieba. Opanowała go przemożna chęć, by wydostać się z mrocznej uliczki i uciec jak najdalej od tego budynku. Uczucie było tak intensywne, że musiał skupić całą wolę na tym, by nie wziąć nóg za pas i nie pobiec w stronę Beach Street. W stronę światła. Odetchnął głęboko i powiedział szybko:

– Kucharz ich wszystkich zastrzelił. A potem sam się zabił.

Po tych słowach Billy odwrócił się i machnął ręką do grupy, by wyprowadzić ich jak najdalej od nawiedzonego budynku, krążących

w nim duchów i echa horroru, który wydarzył się tu wiele lat temu. Od Harrison Avenue dzieliła ich zaledwie jedna przecznica. Widział już jej kuszące światła i ruch uliczny. Miejsce dla żywych, nie dla umarłych. Szedł tak szybko, że turyści zostali w tyle. Nie mógł pozbyć się uczucia zagrożenia, które zdawało się opłacać ich coraz ciśniej. Uczucia, że coś ich obserwuje. Obserwuje jego.

Przeraźliwy kobiecy pisk sprawił, że odwrócił się gwałtownie. Serce waliło mu jak młotem. Nagle grupa wybuchła głośnym śmiechem, a jeden z mężczyzn powiedział:

- Hej, fajny rekwizyt! Zawsze go używasz?
- Co takiego? – spytał Billy.
- Nieżle nas wystraszył. Wygląda bardzo realistycznie.
- Nie wiem, o czym pan mówi – wybąkał Billy.

Mężczyzna wskazał przedmiot, który, jak sądził, stanowił część przedstawienia.

- No, dzieciaku, pokaż mu, co znalazłeś.
- Znalazłem to tam, za śmietnikiem.
- Fuj. To nawet w dotyku jest jak prawdziwe. Ohyda!

Billy podszedł bliżej i nagle nie mógł zrobić ani kroku; odebrało mu mowę. Zamarł, wpatrując się w trzymany przez chłopca przedmiot. Zobaczył gęste krople, które opryskały kurtkę dziecka, ale chłopiec tego nie zauważał.

Pierwsza zaczęła krzyczeć jego matka. Potem dołączyli inni; wrzeszczeli, cofając się. Zdezorientowany chłopiec stał bez ruchu, trzymając zdobycz, a krew kapła i kapła na rękaw jego kurtki.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).